



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gabrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Sypialnia Hr. Adama.—Herbata.—List pułkownika.—Dumanie Klary.—Przybycie ojca.—Stadnina.—Arabka Rachel.—Dzielny jeździec.

Hrabia Adam siedział w obszernej swej sypialni, otulony watomym szlafrokiem; pomimo dnia ciepłego okna były szczelnie zamknięte, a na marmurowym kominie płonął suty ogień z dębowych polan.

Przy ogromnym fotelu aksamitnym, który zajmował, stała laska, którą się podpierał, od trzech lat bowiem, artretyzm silny odjął mu władzę w prawej nodze.

Był to mężczyzna wyniosłego wzrostu; oblicze podługne, regularnych rysów; przypominał jeszcze dorodną postać. Na wybladłych policzkach błąkały się gdzieś niegdzie ze stéraney młodości, rumieńce w drobnych plamach, jak na rumowiskach wspianego zamku, wśród baszt omszających, wykwiata niekiedy barwisty kwiatek. Oczy ciemne zapadły głęboko, bez blasku, matowe, jakby je mgła osłoniła. Usta sinawe, straciły dawną barwę, bujny włos gęsty starannie był ufrizowany.

Ręce skądne i białe, o nich też hrabia miał szczególniejsze staranie, gdyż wierzył, że tylko czystej krwi arystokratyczne rody, pięknoscia rysów

twarzy, jak kształnością nóg i rąk zwykły się odróżniać... Na wszystkich niemal palcach błyszczały pierścienie brylantowe, bo w nich miał osobliwe upodobanie. Jakkolwiek niesłychanie rano i wbrew zwyczajowi swemu zerwał się z pościeli, już starannie był ubrany i tylko szlafrok stanowił jego *negliż*.

Oczekując na małżonkę zapalił fajkę na długiej antypee, puszczając kłęby dymu, wodził za niemi bezmyślne spojrzenie, albo zwracał je na jasny, wesoły płomień kominkowy. Ciężkie westchnienia podnosiły pierś jego, na obliczu malował się jakiś duszny niepokój i strudzenie niezwykle.

Niedługo usłyszał chód swej żony, odetchnął wtedy spokojniej i zwrócił się do podwoi wyłoczonych, na progu których ukazała się Klara zarumieniona wzruszeniem i przechadzka poranna.

— Przepraszam cię, hrabino, że tak wcześnie cię zaprosiłem na śniadanie, ale miałem sny męczące. Kiedym otworzył oczy strudzone, a przy połysku kominkowego płomienia ujrzałem twój portret, tak podobny, tak piękny, uspokoiłem się i zacząłem nanowu drzemać, gdy dwa strzały jakiegoś zagorzałego myśliwca zbudziły mnie już na dobre, ale ja go każę tak przepędzić, że mu na drugi raz ochota odejdzie bobrować po moich polach!

— Mylisz się hrabio! — odrzekła spokojnym tonem żona — on polował i strzelał, ale nie w twojej granicy.

— A skądże wiesz o tem? — zapytał ciekawie podnosząc głowę.

— Wiem, bo wstawszy rano, jak mój zwyczaj letnią porą na wsi, widziałam, jak ze wzgórza po za rzeką przechodził i usłyszałam wystrzały, które cię zbudziły.

— To co innego, moja duszko, — mówił, przymilającym się głosem — a teraz pozwolisz, że wypijemy razem herbatę.

I zadzwonił.

W tej chwili ukazał się tenże sam kamerdyner.

— Mój Jacenty! podaj śniadanie, razem z panią hrabiną wypijemy.

Gdy kamerdyner wyszedł, dobył list z szuflady i podał.

— To, moja Klareciu, list od twego ojca pułkownika, a mego teścia, pisze mi, że nas jeszcze dziś nawiedzi.

Z pośpiechem niezwykłym porwała list i odczytała go z radosnem biciem serca.

— Wiedziałem kochanie moje, że sprawi ci to niemalą przyjemność...

— O tak! tak! — zawołała z uniesieniem, i dziękując. W tę chwilę ukazał się Jacenty z lokajem, niosąc na tacach zastawę całą do herbaty...

— Dziękuję ci, panie hrabio, serdecznie za to.

I podała mu rękę, którą on uściśnął.

Przerwę, jaka nastąpiła w słowach jej, spowodowało wejście służby, przy której (jak sobie zastrzegł pan Adam) tytułowano się wzajemnie godnością hrabiowską.

Po dwóch filiżankach herbaty, nieznaney podówczas w całym kraju, jak tylko na dworach pańskich, uczył się nieco rzeświejszym, ale uważał potrzebę przedrzymania się po tak niespokojnej nocy. Podała więc Klara mężowi rękę, którą on teraz ucałował i opuściła komnatę. Pan Adam wiodąc za nią oczyma:

— Piękna! zawsze piękna estetycznie i powabna kobieta, mówił do siebie i oparłszy głowę o miękką puchową poduszkę, wkrótce głośnem chrapaniem oznajmiał sen swój smaczny.

Klara weszła szybko do swego pokoju i drzwi zamknęła na klucz, na tualecie leżała mała wiązanka niezapominajek, które znalazła w ogrodzie. Pochwyciła ją, wpatrywała się długo, ale wkrótce zalana rzewnymi łzami, upadła na *szezłag* i długo, długo z cicha łkała.

Przez okno otwarte, teraz wraz ze świeżem i ożywiającem powiewem wiatru, wpadał daleki i głuchy gwar wioskowy. Wrzawa dziatwy wesołej, tony wierzbowych fujarek i szczekanie psów, z beczaniem owiec i porykiem bydła, powoli utuliły boleść ser-

ca. Klara wpatrywała się w tak dobrze znany sobie krajobraz.

Wzgórze było zupełnie puste, ale jej wyobraźnia stawała przed oczyma duszy, składną i dorodną postać myśliciela.

— To on był niezawodnie! — myślała sobie — on złożył te niezapominajki i pożegnał na zawsze! O! mój Boże! jakżem nieszczęśliwa, w pośród tego przepychu i zbytku! Wszystko mam, czego tylko zapragnąć może kobieta: dostatek, bogactwo, ale nie mam serca, coby odpowiadało mojemu, nie mam przyjaciela, na któregobym ramieniu śmiało oparła, przeszła to życie, które się tak do mnie uśmiechało w dziecięcych latach! Sześć lat męczarni! tortur codziennych, to za ciężko na moje słabe barki! Zafamała ręce, powstała, ale gdy spojrzała w ogromne zwierciadło:

— Mój ojciec kochany przybywa! Wdziemy maskę uludy, ażeby mu nie zatruć ostatnich lat życia. O! moja matko, tyś jedna najlepiej mnie znała i twoje rady byłyby mnie zbawiły.

Turkot niezwykły tak rano i trzask z bicza dał się słyszeć przed kolumnami pałacu. Na ten rozgłos hrabia zbudzony ze snu, porwał się z fotela, wsparł na lasce i posunął ku oknu. Ale gościa nie ujrzał, tylko pojazd z cztery dzielne bułanki zaprzężony w krakowskich chomątach i poznał *ekwipaż* swego teścia.

We drzwiach głównych sieni już stała sama Klara z uśmiechniętą twarzą, z żywym rumieńcem, z wyciągniętymi rękoma, rzucając się z głośnym okrzykiem radości w objęcia ukochanego ojca.

Pułkownik zachował w całej postaci wierny typ żołnierza z czasów Napoleona I-go. Wyniosłego wzrostu, pomimo lat sześćdziesięciu z górą, trzymał się prosto i krzepko. Zahartowany w trudach obozowych, przeszedł on w połowie pieszo, w połowie konno całą Europę, bo walczył we Włoszech, w Hiszpanii. W sędziwych latach rzucił mundur; po długiej wojaczce zapragnawszy spoczynku, osiadł w wiosce po ojcu, gdzie się rodził, a poślubiwszy daleką krewniaczkę, oddał się z tą samą energią gospodarstwu, z jaką dawniej dowodził pułkiem.

Z radością przyjął w swoje objęcia drogą jedynaczkę i przycisnął do serca z głębokim rozrzewnieniem.

— A mąż... hrabia jest? — zapytał.

— Jest, jest, ale trochę słaby i czeka ojezulka w swojej sypialni.

Pułkownik szybko wpadł na schody i właśnie stanął na progu komnaty, gdy hrabia wołał kamerdynera, aby mu frak z orderami podał.

— Ale po co te ceremonie, mój panie Adamie, po co między nami takie ceregiele! Nie wylaż ze swego szlafroka, bo inaczej ucieknę do mojej Klarczy więcej się u ciebie, mój hrabio, nie pokażę.

Gospodarz, gdy usłyszał przecie w końcu wykrztuszony przez teścia wyraz *hrabio*, rozjaśnił swoje oblicze, rozmarszczył czoło i wyciągając rękę do gościa....

— Ach! kochany pułkowniku! wielką mi radość i mojej żonie hrabinie zrobiłeś łaskawemi odwiedzinami. Zaraz tu będzie weselej i ja się czuję zdrowszym. Jacenty! zastaw śniadanie w salce na dole, zejdziemy tam razem i prosz pani hrabiny, żeby ojca swego powitała...

— Mój hrabio, nie trudź się, jużem ją widział i uściskał serdecznie. Doskonale wygląda; więcej na pannę niż na mężatkę.

Pan Adam nieco wzruszony odrzekł:

— Rzeczywiście moja żona tak ślicznie wygląda, pięknie i to pięknie estetycznie, jakby była hrabianką, a nie hrabiną.

Pułkownik pokręcił siwego wasa, potarł krótko ostrzyżoną czuprynę i zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

— Dobrze, żeście się przenieśli z murów Warszawy (mówił) na wieś i teraz niedalekimy jesteśmy sąsiadami. Świeże powietrze służy Klarczy i tobie... hrabio da zdrowie i pokrzepi zwątlące siły, czego z serca ci życzę...

— Dziękuję! serdecznie dziękuję, kochany pułkowniku.

— No! teraz marsz ze mną na dół do śniadania! — zawołał stary wojak.

— Jak to? w szlafroku?

— Kiedyś słaby trochę i niedomagasz, a nikogo obcego nie mamy, nie pozwolę inaczej...

— Chyba to za wyraźnym rozkazem pułkownika! — odrzekł hrabia uprzejmie...

— A więc dobrze, ja ci, mój hrabio, rozkazuję, — mówił z uśmiechem — niejednemu hrabiemu, margrabiemu, vice-hrabiemu, a nawet i książątkom rozkazywałem, gdym stał na czele pułku.

Pułkownik wyszedł pierwszy, a za nim wspierając się na lasce, ostrożnie i zwolna, postępował zięć po schodach. W salonie dolnym już czekała rozradowana Klara, przy stole suto zastawionym.

Do późnego wieczora bawił sędziwy wojak w pałacu swego zięcia. Przy obiedzie po kieliszku staro-węgrzyna, rozochocił się wielce, patrząc na ukochaną Klarcję swoją. Hrabia kazał wyprowadzić przed pałac konie cugowe i wierzchowe, a miał stajnię wyborową i *rasowe* rumaki. Pułkownikowi wpadła szczególnie w oczy klacz wrona czystej krwi arabskiej. Nóżki sarnie, oczy wypukłe i rozumne, osadzone w małej głowie, kark jakby utoczony, *chrapy* czerwone i duże, malownicza osada ogona, ogień i składność ruchów, zachwycały takiego jak on znawcę, który jako dobry kawalerzysta, znał i cenił dzielne konie. Kazał ją kilka razy przeprowadzić, emokał ustami, kręcił głową, klaszkał w ręce z radości. Hrabia pilnie śledził każde jego poruszenie, wreszcie rzekł powstawszy z fotelu:

— Panie pułkowniku! racz przyjąć w darze od przywiązanego zięcia klejnot mojej stajni, piękną, czystej krwi *Rachele*.

— Co! co! zawołał z roziskrzonymi oczyma wojak, a mój panie Adamie, to prezent na wagę złota...

Po chwili ochłonawszy, dodał.

— Mój hrabio! gdybym ją miał dawniej... ale teraz...

I smutnie opuścił głowę na piersi.

Zaledwo przecie bolesne uleciało westchnienie, wyprostował się nagle, zajaśniały mu oczy i krzyknął:

— Hej! mój Grzesiu! osiodłaj-no mi arabkę, muszę spróbować jak nosi.

— Ojeże! mówiła błagalnie córka, czy cię zbyt nie utrudzi?

— Nie lękaj się, moje dziecko, znam się z końmi, i arabka pozna, jakiego poniesie jeźdźca.

Siwy Grzes, dawny hułan, wlot okulbaczoną przyprowadził *Rachele*, która grzebiąc małym kopytem, zdawała się oczekiwać upragnionej chwili do polotu.

Pułkownik zbliżył się do niej, pogłaskał po gładkiej a lśniącej sierci na karku, przez którą przegładały jak siatka żyły naprężone, i jednym skokiem już był na siodle. Arabka wspięła się nieco, a potem zaczęła zwolna, stosownie do woli doświadczonego jeźdźca wyciągać kłusa. Tak objechał cały dziedziniec pałacowy i stanął pod kolumnadą.

— Kochany hrabio! przemówił, wielką mi rozkosz sprawiłeś, bo to *rarity* na nasze czasy. Niech ci Bóg zapłaci! Teraz, Klarcy, nie przestrasz się, gdy się puszcze po dawnemu, z *wiatrami w zawody*, jak mówią Ukraińcy.

I to rzekłszy, osadził się silnie w siodle, emoknął, czapkę na bakier ułożył, wznosił prawą rękę w górę i zawołał gromkim głosem:

— Marsz! marsz!

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŁZAWY ZDRÓJ.

Pieśni! czemu bez mej woli
Z piersi mi się rwiesz,
I czem serce ciągle boli,
Wypowiedzieć chcesz?

Próżna praca tłumić żale,
Głuszyć pieśni dźwięk....
Kto zatrzyma rzeki fale,
Stłumi wichru jęk?

Niewstrzymana fala płynie,
Pianą muska brzeg;

Hula wichru po równinie
Niewstrzymany bieg.

Smętnych dumań w duszy cieśni
Gdy się kłębi rój,
Mimowoli tęsknej pieśni
Łzawy tryska zdroj.

B. K.

HISTORYA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Odpocznij, będziemy nad tobą czuwać, nie pojedziesz sam, z nami — ale trzeba wyzdrowieć — trzeba żyć.

— Trzeba żyć! powtórzył wdychając chory....

Nie mógł się jednak długo utrzymać i choć ręką opierał się o ścianę, opadł na poduszki. Braciszek aptekarz, który przed chwilą stanął był w progu i przypatrywał się tej scenie, wsunął się teraz powoli, niosąc napój, który naprędce przyprowadził.

— Bóg łaskaw, cud—przesilenie—kryzys, trzeba mu dać pić—rzekł—i podał kubek. Jadzia wzięła go z rąk księdza i zbliżyła się do chorego. Pochyliła się nad nim i szepnęła:

— Janasz, trzeba to wypić.

Posłuszny wyciągnął rękę drżącą szukając kubka, ale Jadzia mu sama naczynie przyłożyła do ust spiekłych.

— Pij—rzekła—i niech ci napój ten da życie.

Janasz otworzył oczy, wlepił je w nią z zachwytem niewysłowionym i zaczął pić i wypić do dna. Naówczas przymknęły mu się oczy. Odstąpiła Jadzia.

— Teraz trzeba mu dać zasnąć — szepnęła braciszek, a ja pozostanę przy nim teraz. Bóg łaskaw—mam nadzieję.

Skorzystała z tego Miecznikowa, aby Jadzię pochwycić i odciągnąć od łóżka. Dała się nie mówiąc zabrać, tylko z progu spojrzała jeszcze na usypiającego. On, jakby poczuł ten wzrok, otworzył oczy, uśmiechnął się łagodnie i zamknął powieki.

W korytarzu stał ks. przeor Zajac, który pokornie zapraszał Miecznikową dla odpoczynku do siebie. Byłaby może odmówiła, chcąc spocząć swobodniej w gospodzie, lecz Jadzia się chwiała na nogach, jej potrzeba było przyjść do siebie. Część życia oddała jemu.

Nikita został przy chorym.

Od przeora dowiedzieli się szczegółów o chorobie Janasza, który ledwie się przywlokł z gorączką do miasteczka i obległ w gospodzie. Ztamtąd go dowiedziawszy się księża zabrali do klasztoru i nie szczędzili starań, aby utrzymać przy życiu. Nie jednak nie pomogło i gdy Miecznikowa przybyła, nie miano już żadnej nadziei. Wypadek ten tak był zajęł z początku wszystkich, iż o niczem więcej nie mówiono, gdy w rozmowie ks. Zajac słowo rzucił:

— Wiekopomne Janowe zwycięstwo....

— Jakże? podchwyciła Miecznikowa poruszając się na krześle.

— A więc wielmożna pani dobrodziejka nie dotąd nie wiesz!—zawołał ks. Zajac—i ja będę tak szczęśliwy, że ją pierwszy o tem uwiadomię.... Doszła tu do nas radosna nowina przez lwowskie kresy, że król nasz Jan, zaledwie pod Wiedeń przybywszy, *venit, vidit, vicit*, Turków siłę nieprzeliczoną, która Wiedeń oblegała, pobił na głowę i rozpedził; niezmiernie skarby dostały się w ręce nasze. Wzięta rękami dzieci naszych wielka chorągiew proroka. Bóg dał nam tryumf w obronie Ewangelii.

Z wszystkich piersi okrzyk się wyrwał, ręce dziękczynne się złożyły.

— Może to być?—wołała p. Zboińska.

— Rzecz jest pewna — bo do Królowej Jejmości przybył goniec z listem, który król pisał z namiotu Wezyra.... Po całym kraju biegają gońce, wszystkie kościoły rozlegają się pieśnią Sw. Ambrożego dziękczynną, co żyje cieszy się i raduje, że nam dano było skruszyć tę potęgę i krwią naszą krzyż Chrystusa od zniewagi obronić.

Radość i uniesienie ożywiły wszystkich i gdyby nie choroba Janasza, Miecznikowa była by biegła co prędzej do domu, aby się coś więcej dowiedzieć, a szczególnie o mężu, który był przy boku króla.

O stratach jeszcze naówczas nikt nie wiedział, chodziły tylko słuchy, iż stosunkowo do otrzymanego zwycięstwa nie były wielkie.

Na opowiadaniach i chwytności posłuchów wszelkich, jakie krążyły o cudownym pogromie nieprzyjaciela, upłynęła godzina, wstała Miecznikowa, aby odejść i sama już, litością zdjeta, zażądała jeszcze zajść do celi przy infirmaryi, aby się dowiedzieć co się z Janaszem dzieje. Nikita, który był na straży, powiedział u progu, że ksiądz zakazał pokrzepiającego snu przerywać, i zaręczył że dzień i noc sam tu siedzieć będzie, da znać o chorym.

Tak tedy nieco uspokojone siadły do kolebki. Miecznikowa dwojako wzruszona: otrzymaną wiadomością i widokiem, jaki przed oczyma miała. Jadzia chmurna, zapłakana, milcząca, jechała jakby się wstydząc tej chwili uniesienia u łoża chorego. Matki myśl z przerażeniem wracała do tej chwili. Poczuła całą siłę przywiązania, które się objawiło w tym momencie stanowczym, trwożyła się o przyszłość.

Pragnęła uzdrowienia Janasza, ale zarazem oddalenia jego — drżała obwiniając siebie samą o to, że uczuciu temu dała wzrosnąć do takiej gwałtowności. Żałowała córki, lękała się męża, przypominał się jej Kasztelan, słowem czuła się znużoną i niepewną tego, co ma począć, modłać się, aby Bóg zesłał radę i ratunek. Z tą nieszczęśliwą miłością sama nie wiedziała jak ma walczyć, a niemniej pokonać ją musiała. Cóżby to powiedział Miecznik, gdyby mu na myśl przyszło, że ubogi sierota wykradł mu jego skarb jedyny!

Radaby była wypowiedzieć się z tego, szukać rady pani Miecznikowa, a nie miała nikogo komu by się zwierzyć mogła. Ks. Żudra nie był wcale właściwym do takiej sprawy powiernikiem.

Podróż cała zwieczniona, też została tym niespodziewanym wypadkiem. Liczyła już dni, gdy się znajdzie w Mierzejewicach, teraz trzeba było może czekać tygodnie na ozdrowienie Janasza, lub przynajmniej na to, by go uspokojonym porzucić można, tak aby mu nie zagrażał powrót choroby.

Jadzia ledwie wróciwszy do gospody, pobiegła niemal zawstydzona do swej bokówki i tam upadła na łożo, modłać się i płacząc. Obawiała się żyć pokazać przed matką.

Nim wieczór nadszedł, dwa razy miano wiadomość z klasztoru. Przybył Sieniuta od brata i doniósł, że chory się przebudził i długo dosyć mówił z Nikitą, że się miał widocznie lepiej.—Potem przybył sam Nikita z weselszą twarzą, zapowiadając także iż „panicz“ daleko teraz nawet pod wieczór, czuł się silniejszym i jakby z grobu powstał, bo już się ze światem pożegnał był na wieki. Zabrawszy dla chorego co tylko sądził, że mu potrzebnem być może, wybrał się do niego na noc i miał już odchodzić, gdy Jadzia potajemnie wybiegła i szepnęła mu ażeby od niej pozdrowił Janasza jeszcze. Na znak dała mu, niemając co, chusteczkę, którą z szyi zdjęła. Nikita rozczulony pocałował ją w rękę, chustkę jak najtroskliwiej schował i czempredziej się oddalił.

Nazajutrz rano Sieniuta nacieszywszy się bratem siadł na koń, aby do domu powrócić. Miecznikowa nie pewną była co z sobą pocinie. Wczorajszy dzień uczynił ją posępną i zamyśloną, chciała jechać i wahała się — a nie śmiała, z Jadzią nie mówiąc wcale ani o Janaszu ani o dalszej podróży. Unikała widocznie tego przedmiotu.

We trzy dni Janasz już mógł wstać i przejść się o swej sile po celi, był jednak osłabiony i zmieniony do niepoznania. Zdawał się starszym znacznie, młodość z sobą choroba ciężka i troska zabrała. Nikita nastawał mocno, aby z ks. Żudrą siadłszy na wóz jechał do Mierzejewic, gdzie go samo powie-

trze uzdrowić musi. Droga nie była straszna, bo od starego Konstantynowa jechać mieli nie tak już śpiesząc, szczerząc zmęczonych koni i ludzi. Brać aptekarz wprowadzić nie radził się jeszcze na jesienne narażać powietrze, Miecznikowa milczała, Janasz także.

Jadzia dwa razy była z matką u chorego, lecz niemal zawstydzona tem, że się pierwszą razą znalazła tak nieopatrznie, chłodniejszą teraz była i na pozór obojętną.

W parę dni potem Janasz czuł się tak dalece silnym, że sam do podróży się zaczął gotować. Naznaczono odjazd, dzień jeden jeszcze dając do wypoczynku, wreszcie po wotywie na intencję podróży, Korczak podziękowawszy Ojcom za ich gościnność, zabrał się do miasteczka, gdzie już w gotowości stały wozy i ludzie. Wprawdzie nie mógł jeszcze bez zadychania się długo iść o swej sile, lecz z każdym dniem i godziną było mu lepiej. Miecznikowa śpieszyła teraz niespokojna. Codziennie nowe przychodziły wieści o wiedeńskiej potrzebie, a o mężu od nikogo się dowiedzieć nie mogła. Jesień była dosyć sucha i pogodna, więc i wołyńskie drogi niepopsute. Na każdym popasie i noclegu spotykano przejeżdżającą szlachtę, która nowe dziwy rozpowiadała o rozbiciu Turków. Jadwisieć tem cieszyli jakby już Kamieniec i Podole z rąk ich były wyrwane, drudzy zemstę srogą zapowiadali. Godzili się jednak na to wszyscy, iż odniesione zwycięstwo było chlubą wielką w oczach Europy i mogło podnieść na nowo sławę rycerstwa.... O kilku już poległych pod Wiedniem wiedziano, o kilku rannych z przedniejszych dowódców i osób przy królu zostających, tylko o Mieczniku było głucho.

Ksiądz Żudra powtarzał, iż to właśnie najlepszym było, iż nowin nie mieli żadnych.

Miecznikowa wzdychała i modliła się. Tak ciągnąc się a coraz bliżej będąc znajomych okolic, na noclegu w karczmie na Podlasiu szczęśliwie trafili na sąsiada. Był nim stary pan Chorąży Bielski, przyjaciel Miecznika, gospodarz i prawnik wielki, człek dobry i znany, lecz zręda i nudziarz a robi-grosz, zakłopotany nieustannie swemi folwarkami i interesami. Chorąży miał nadzwyczajną ochotę nabywania ziemi i majątków, kupował co tylko mógł, często bez pieniędzy, wykrcęjąc się rozmaicie, nie zawsze wychodząc szczęśliwie, a na stare lata nabrawszy na głowę kłopotów co niemiarą. A że majątkości te bardzo były rozrzucone, Chorąży nieustannie był w drodze z jednej do drugiej, żadnej pono dobrze dopilnować nie mogąc. Spotkali go właśnie przejeżdżającego z Lubelskiego w Podlaskie, gdzie ogromny szmat błót i piasków zakupił, które mu nie dawały. Jechał oglądać czy potuszów palić i smoły nie będzie mógł pędzić.

Ksiądz Żudra naprzód go zobaczył i poznał. Chorąży porwał się od bigosu podróжного, przy którym siedział właśnie, i począł go obejmować i ścisnąć.

— Więc wracacie? cali! Chwalić najwyższego, już o resztę nie pytam, zawołał. Do nas tu straszne i głupie jakieś dochodziły wieści.

— O! w istocie przebyliśmy srogie tarapaty — odezwał się ksiądz Żudra — ale Bóg uratował, a pocieszył nas *victoria*, o której nas wieści na drodze doszły. Ale o Mieczniku dotąd nie wiemy.

Chorąży czegoś chrząknął, pasa poprawił, czuprynę potarł.

— Nie słyszałem nic — odparł krótko. Ale oczyma tak dziwnie powiódł po księdzu jakby skłamał, do czego nie był nawykłym.

— Nie mieliście listów? — zapytał.

— Może w domu czekają.

Chorąży zmilczał, prosił na bigos, ksiądz odmówił, zaczęły się opowiadania. Potem stary wasy otarł i zabrał się iść pokłonić Miecznikowej, ale wprzód pośpieszył coś ludzom szepnąć.

Z panią Miecznikową rozmowa była urzędowa, o sprawach ogólnych, *de publicis*, o sąsiedztwie, o Mierzejewicach. Chorąży zaręczał, iż nie prawie nie wie, bo ciągle jest na dyszlu. Zdawało się jednak jakby się za język kąsał. Posiedziawszy chwilę, pożegnał sąsiadkę i z ks. Żudrą poszedł do drugiej izby.

Jakoś się dziwnym wydał kapelanowi: mówił, urywał — zaczynał, nie kończył — patrzył księdzu w oczy, zdawał się namyślać. Wreszcie wziął go pod rękę.

— Księżuniu — rzekł — tu niema co obwijać w ba-

welnę, nie chcę być złych wieści postem. Może to są rzeczy niepewne, ale żeby się Miecznikowa *insperate* nie dowiedziała, — gadają że Miecznik pod Wiedniem ranny. Otrzymał postrzał i to w nogę. Noga — jak u Achillea tak u nas, najniebezpieczniejsza rzecz.

Ks. Żudra zachnął się i ręce załamał.

— Mogą być bajki — dodał Chorąży, ale chcę żebyś wiedział o tem, aby was to nie zachwyciło nagle.

Milczał kapelan zafrasowany.

Chorążego konie były już gotowe, siadł więc i ruszył zaraz. Ks. Żudra pobiegł do Janasza, który w drodze nietylko był nie osłabł, ale się miał znacznie lepiej. Nie mógł utrzymać przy sobie nieszczęśliwej wiadomości — zwierzył się z nią Korczakowi. Janasz jak piorunem był rażony. Kochał Miecznika jak ojca, szanował nad wyraz wszelki — osłabiony jeszcze, od łez się nie mógł powstrzymać. Prędko jednak ży otarłszy, oświadczył Ks. Żudrze, że jeśli się wiadomość sprawdzi, on natychmiast ruszy do Miecznika, choćby go na drugim końcu świata szukać było potrzeba.

Rozjaśnione nieco lice Janasza, znowu posępniało, zbliżanie się do Mierzejewic przyczyniło się też do tego. Nie wiedział jaki go tam los czekał — ale nie spodziewał się nic dla siebie dobrego, czuł, że z tego rajy wygnanym być musi i powinien. Nie miał ani żalu ani gniewu, widział konieczność — dla szczęścia Jadzi. W podróży spotykali się często oczyma, ale matka zapobiegła zbliżeniu się, choć na pozór nie było to widocznem. Zawsze się tak jakoś składało, iż spojrzeć mogli na siebie zdaleka, przemówić coś obojętnego, ale nigdy poufalej i dłużej rozmawiać. Miecznikowa nie okazywała Janaszowi ani urazy, ani mniej dobroci jak zwyczajnie, nie zmieniała postępowania z córką, ale czuwała.... Z wielką trafnością umiała postępować, nie dając poznać po sobie, ażeby to było obrachowaniem.

Przed ostatnim noclegiem, który przypadł o mil trzy od Mierzejewic — a z kądem ludzom przodem wysłani być mieli, i Janasz się wybierał z niemi; napędził ich znajomy Podkomorzy brzeski Buchowiecki, powinowaty Miecznika, człek lat średnich, gaduła wielki, orator sławny, galant dla kobiet, które się z niego od lat dziesięciu wysmiewały. Chciał go złapać ks. Żudra, aby go przestrzedz, iż Miecznikowa o niczem nie wie, gdy Podkomorzy przypadł do kolebki i odrazu począł od kondolencyj.

— Pani Miecznikowej dobrodziejcie! co za szczęśliwe spotkanie, zawołał z admiracją wlepiając oczy w nią, gdyż był jej wielbicielem wielkim. — Już widzę że panią ta wieść do domu z powrotem pędzi — ale niema nic tak straszego, niema nic straszego, a bohaterko się też znajdował!

Pobladała wychylając się Miecznikowa.

— Mów, błagam — co się stało, ja nie wiem o niczem.

Podkomorzy zrazu osłupiał i zaciął się, lecz zawrócić już było zapóźno. Uderzył się dłonią po ustach.

— Otom się spisał — krzyknął, niechże mnie. Niema nic! Ludzie plotą jakoby Miecznik był ranny, nie pewnego niema, bajka to być musi, kiedy pani dobrodziejka nie wiesz nic.

Miecznikowa płakać zaczęła, Jadzia krzyknęła. Przypadli ludzom, Buchowiecki stał jak wryty.

— Język przeklęty! — mrucał — świerzbiło mnie pleść! A to skaranie Boże! nigdy się więc tego nie oduczę.

— Żądaj pan to wiesz, Podkomorzy, łaskawco! mów! wołała Miecznikowa.

— Bębnią wszyscy, plotą, nic nie wiem.

— Cóż mówiał zlituj się! co mówią — jaka rana?

— W nogę, jakoby postrzał, ale to nic — noga, cóż noga.

— On zawsze na nogi i tak się skarżył, poczęła Miecznikowa — o mój Boże!

Padł tedy niespodziewany frasunek na nieszczęśliwą kobietę. O nocowaniu nie było mowy. Drogi znane dobrze dozwalały ciągnąć nocą, a nadejściem księżycy jeszcze świecić. Kazano popaść w miasteczku rozpytając Bochowickiego, który wciąż na swą długojęzyczność narażać. Ks. Żudra nie przyznał się, że o tem już wiedział od Chorążego. Z zamieszania, jakie z tego powodu powstało, skorzystał tylko Janasz, bo się po raz pierwszy na progu mógł do Jadzi zbliżyć, po raz pierwszy od tej

chwili dnia pamiętnej w celi dominikańskiej, gdy głos Jadzi do życia go na nowo powołał.

— Ja już wiedziałem o tem nieszczęściu—rzekł—posłyszeliśmy o niem pierwszy raz od pana Chorażego, spieszyłem do domu aby zaraz nazajutrz wybrać się w drogę. Żadna siła wstrzymać mnie nie może: ja przy moim dobrodziejcu być muszę.

— Jedź—odpowiedziała krótko Jadzia. Czemuż ja nie mogę! Biedny ojciec....

— Bóg da, że nie będzie to tak strasznem jak się dziś może wydaje.... ludzie mówią....

— A! odpowiedziała Jadzia—żyłam krótko—ale jużem się tego nauczyła że zawsze straszniejszą jest prawda niż ludzkie przeczenia! Z jakąż ja radością wybierałam się w tę drogę, jak pilno było matuni! Któż z nas odgadł co nas tam czekało.... i że wy nam ocalicie życie, poświęcając wasze.

— Panno Miecznikówno dobrodziejko—rzekł Janasz wzruszony—pani ja też moje winienem. Byłem umarłym, głos jej z grobu mnie wywołał.

— Bom potrzebowała was, mój dobry bracie—rzekła Jadzia—sama jestem na świecie, i bez was byłabym sierotą.

Janasz spuścił oczy. — Pani sierotą nie będziesz, masz rodziców, znajdziesz łatwo opiekuna i przyjaciela.... Mógłbym powiedzieć nawet, żeś go już znalazła.

Zarumieniła się Jadzia.

— Wiem o kim mówisz—odezwała się chłodno—ale ten mój przyjaciel nie będzie.—Czuje to. Mam wstręt do niego, nie mogłam mu go okazać tylko, bom musiała być wdzięczną.

— Pozwólże mi jako bratu i przyjacielowi—przerwał Janasz—wziąć jego stronę. Ja go tam poznałem bliżej. Mężny jest, szlachetny, serce ma dobre. Pochodzi z pięknego rodu, nie mu zarzucić nie można, a to wiem, bo to wiedzą wszyscy że pannę Miecznikową kocha.

Jadzia się zarumieniła jak wiśnia, widać było zniecierpliwienie i zdumienie na jej twarzy.

— Wy za nim mówicie? Janasz? zapytała—wy, za nim?

— Bo mi tak sumienie każe, bo wiem że i pani Miecznikowa jest za nim, a serce matki najlepiej czuje.

Jadzia mu nie dała dokończyć.

— Ja go znieść nie mogę—zawołała żywo. Widział jak byłem dla niego obojętną, a dręczył mnie ciągle. Proszę was, nie mówcie mi o nim.

— A jeśli to przeznaczenie wasze?—spytał Janasz.

— Nie—zawołała stanowczo Jadzia—mojem przeznaczeniem raczej będzie klasztor. Wrócę do matki przełożonej do Lublina.

Zakryła oczy, Janasz zmilczał.

— Jak wy mi to mówić możecie?—dodała po chwili, wy coście przyjacielom moim? wy? a! tegom się nie spodziewała.

Ja nie chcę iść za mąż—dokończyła nagle—i nie pójdę, tylko za tego kogo moje serce wybierze, a serce moje wybrało. Cześć potrafię.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Powrót do gniazda. — Powieść J. I. Kraszewskiego Warszawa, 1874 r.

Ofiary. — Powieść Teodora Tomasza Jeża. Warszawa, 1874 r.

(Dokończenie).

Przedmiot niniejszy nie jest, niezaprzeczenie, nowym w literaturze powieściowej, satyrycznej, humorystycznej, a nawet felejtonowej, literatura poważna rzadko z nim występowała, jakoby przeczuwając, iż głos ten byłby u nas głosem wołającego na pustyni, który niebawem uciechłby w zapyleniu półek księgarskich. Pozostawiła więc głos młodziej i powabniejszej swej siostrze, bellestrystyce, która z prawa tego obszernie skorzystała. Jeżeli wszakże przedmiot ten nie jest nowym co do treści, za to występuje on w formie świeżej, oryginalnej,

nie zapożyczonyj znikąd, dalekiej od wszelkiej książkowości, ale czerpanej wprost i bezpośrednio z życia, umiejętnie na zasadach przyczyn i skutków rozciągniętej, a pełnością programu wiele dotychczasowych tego rodzaju utworów przewyższającej.

Ironiczna struna ofiarności pobrzękuje tam od początku do końca, zalewając przez to cały utwór tonem satyry. Wszystkie ujemne przymioty duszy ludzkiej, głupota, a mianowicie też samolubstwo, wada wprost przeciwna duchowi ofiary, przedstawiają się tu przez smach bohaterów jako objawy poświęcenia, rozumie się obłudnie. Wszak Podkomorzy ofiarę zrobił przyjmując Kacperka do swego kredensu; wszak on poświęca się zezwalając na wszystkie niedorzeczności swej żony. Ta bo jest tu główną przedstawicielką wszystkich tego rodzaju poświęceń: ona to poświęciła się wychowaniu dzieci, ona urządziła ich przyszłość, ona wreszcie zapieczętowała szereg tych poświęceń ostatnim aktem podłości, kazawszy się zaprzedać córce za pieniądze, wprzód przehandlowawszy ją za tytuł. Córka znowu, czyż to nie najdotykalsza z dotykanych ofiar?

Nie poprzestając na wyszydzeniu tej ofiarniczej obłudy, autor zdaje się nawet z poważnej strony nie chcieć przyjmować ofiary w znaczeniu ścisłego czynnika moralnego; a pod tym względem zgadzamy się z nim zupełnie, i jesteśmy w zgodzie z najzdrowszą i najracjonalniejszą etyką. Zajrzyjmy do księgi Chrystusowej, otworzmy dzieła najdzielniejszych myślicieli, od Kanta do Milla, nie znajdziemy tam nigdzie za prawidło życia wskazanych ofiar, tylko obowiązki. Kiedy Mucyusz Scaevola palił rękę w obozie Porseny, kiedy Kacper Karliński strzelał do głowy własnego dziecka, kiedy S. Karol Baromeusz uwijał się między dotkniętymi morową zarazą, — żadnemu z nich nie przychodziło do głowy że spełnia ofiarę, tylko obowiązek. Jedynie w społeczeństwach o węższej moralności i podupadłym instynkcie dobra, łada wykroczenie poza egoizm wydaje się ofiarą, bodajby wystąpienie z amatorskim teatrem i zakupienie biletu na widowisko dla nieszczęśliwych. Niechaj co chcą mówią niektóre piśma codzienne, my tego rodzaju ofiary uważamy nie za objaw ducha ofiarności, ale za nadzwyczajne zwątlenie poczucia obowiązku, który aż tak drastycznymi środkami pobudzonym być musi, żeby dał znak o sobie.

My nie jesteśmy bynajmniej jakimiś partyzantami na tym świecie, ale stanowimy armię regularną, która ma swe przepisy karne i sztandar honorowy; nie z łaski swojej spełniamy dobro, lecz z powinności, a o granice jego pytać nie możemy i nie powinniśmy. Jak daleko sięga dobro, tak daleko w miarę sił i zdolności sięga obowiązek człowieka: biada temu co się cofa bliżej niż na granicy szła, który już nie jest dobrem tylko jego affektacyą; taki nie spełnia przeznaczenia swego, jest tchórzem i deserterem z tego rycerskiego legionu co życie za cześć sztandaru swego oddawa. Złą też to jest taka metoda, która rzuca umysł w jakiś fanatyzm moralny i zarozumiałość ich rozdyma, przedstawiając im zalecane czyny i postęпки jako piękne, wspaniałe, wzniosłe; bo przez to ona wmawia w nie niejako, że zasadą mającą określać ich postępowanie nie jest obowiązek, ale że czyny te mają być im policzone na karb wyjątkowej zasługi. Nie—jesteśmy mocnego przekonania, że człowiek nie może wznieść się nad obowiązek, że nie może mieć w sobie nadmiaru i zbytku cnoty, którymby niejako otwierał kredyt prawu moralnemu. Prawo moralne nie potrzebuje niczyich kredytów, bo obowiązek stoi ponad wszystko, co człowiek uczynić może dobrego, gdy dobre postęпки nasze nigdy się wznieść nad obowiązek nie mogą. Sprobujmy raz tylko taką metodę etyczną wprowadzić w praktykę, a zobaczymy jak będzie wyglądało społeczeństwo nasze.

Lecz jeśli będziemy w hymnach pochwalnych rozwodzić się nad każdą kobietą, która wierną pozostawała mężowi, nad każdym urzędnikiem który nie bierze łapówek, nad każdym bogaczem, co okrucieży rzuca w dobroczynny szafliczek, — to nie dziw, że tak wykręcana moralność, przejdzie z czasem w taką karyturę do jakiej doprowadziła ją rodzina Podkomorczy.—

W tem wyciąganiu skutków z przyczyn, w kreśleniu stopniowego upadku charakterów pod naciskiem coraz gwałtowniejszych okoliczności, aż do

ostatecznego upodlenia, być może przesadził autor; przesada ta jednak dotyczy zaledwie barwy, nie zaś kształtów: na dobrą sprawę, w pojedynczych objawach podobnego upadku i barwa sama nie jest przesadzoną. Każdy z nas rozumie dobrze co to jest pochyłość i jak prędko po niej posuwa się człowiek, którego biegu pochyłego żadna siła wewnętrzna zahamować nie jest w stanie, a z zewnątrz żadna nie nadejdzie pomoc. Nietyle tu wreszcie chodzi o taką lub inną formę upadku, najważniejszą tu rolę odegrała wskazanie przyczyn, które niewątpliwie nie taki to inny upadek sprowadzić muszą, dopóki logika logiką. Pod tym też względem, autor wystąpił jako sumienny dostrzegacz i nauczyciel społeczny; przyczyny zaobserwował dobrze, skutki wyprowadził konsekwentnie, sam usunął się od mowałów, kazał przemawiać swoim bohaterom. Mniej znaczenia miałyby jego utwór, gdyby to wszystko złe które wytknął, zamknęło się razem z epoką zamykającą jego opowiadanie, bo w takim razie byłby on tylko historyografem. Lecz epoka ta otwartą stoi dokąd, trucizna przesądów i fałsz wychowania, bez względu na osobiste złe skłonności indywiduów, nie przestają nurtować społeczeństwa; wszystkich bohaterów jego *Ofiar*, od niedołączonych książąt aż do niecnego Karola, palcem niemal mogliśmy wytknąć, a Podkomorzyna ze swą lekkomyślnością, egoizmem, okrucieństwem i obłudną dewocją staje się niemal typem zapamiętałej lafiryndy, która siebie samą czyniąc osią obrotu świata, nie zna różnicy pomiędzy dobrem i złem, byle co jest do wzięcia pomagało jej próżności lub chęci użycia, przekonana, że i to nawet co sama w innych okolicznościach nazwałaby hańbą, uszlachetnia się przez to, że służy ku pożytkowi jej dostojnej osoby.

Przez wstręt do idealizowania i ideałów, który autor wyjawiał na str. 190 tomu I, trzyma się on z całą usilnością kolorytu realnego, unikając wszelako tych stron zbyt jaskrawo realnych, które w kilku jego ostatnich powieściach gust czytelników raziły. Dalecy my jesteśmy od podzielenia wszystkich jego myśli o idealności, nie biorąc jej za jednoznacznik „gruszek na wierzbie“; lecz, różniąc się może i co do samego punktu, z którego oceniamy wartość ludzkości i jej cele, niemniej przeto przyznajemy utworowi jego niezaprzeczoną trzeźwość myśli i dbałość o dobro społeczne niezależne od wszelkiej doktryny. — Mężki, energiczny, talent p. Jeża utrafiwszy w samą rdzeń charakterów, które chciał przedstawić, potrafił też tchnąć w nie życie, nadać im ruch i koloryt, jakim ten tylko władca co umie charakterystyczne objawy duszy pochwycić, zapamiętać i do pewnej sprowadzić syntezy. — Malują się też charaktery te same przez się, często w drobniutkich wypadkach i scenach z życia powszedniego, tak dobrze jak w jego momentach najważniejszych.

Ażebym go ktoś czasem nie posądził o grzech idealistyczny, autor dodatnie nawet charaktery trzyma w jakimś świetle niedoskonałości, albo na daleki plan usuwa, poprzestając na jednym jakim rysie cechującym rozum lub prawość, a chroniąc je od takich porywów, któreby gorącą dla nich obudzić mogły sympatyę. Główna też waga jego utworu idzie w stronę krytyki. Krytykuje on wszystko w czem widzi złe, fałsz albo złudzenie. Zapuszcza się nawet w krytykę teologiczną, delikatne przypinając łaski to dziesięciorgu przykazaniom, to ojcom i pisarzom kościelnym; księży zaś przedstawia tak jakby chciał podsować materiał do berlińskiej „National-Zeitung“ lub do rycin dla Kladradacza: o innej stronie tego przedmiotu snadź nie chce wiedzieć p. Jeż, w czem się od Kraszewskiego różni.

I w ogólności, autor *Ofiar* naprzeciw widowisku społecznemu pod względem ekonomicznym, pedagogicznym i obywatelskim reprezentowanemu przez książąt i podkomorstwo, nie stawia odpowiedniego rozmiarów i rozwinięcia obrazu, któryby stanowił jego — przepraszamy za wyrażenie — ideał. Wprowadza atoli dwóch ludzi wyłamujących się ponad poziom niszczących przesądów, zlekka i więcej tylko narracyjnym sposobem natracając o tych warunkach, jakie potrzebne są do użyczenia zapuszczonej niwy interesów publicznych: do jednego zaś z głównych bohaterów trzyma się całkiem obiektywnie. Jego Kacper Mędziński, szlachcic dziedziczny, lokaj a następnie właściciel ziemski, nie przedstawia żadnej wybitnej myśli: góruje w nim

rozsądek i dobre serce, to pewna; lecz przez cały ciąg utworu trzyma się on dosyć biernie, służąc niejako tylko za tło do uwydatnienia charakterów innych, od czasu zwłaszcza, gdy nagle przemienił się w bogacza. Zabiegi, jakich odrazu staje się przedmiotem, bochenie się pierwotne szlachty, a następnie kolejne i ryczałtowe zjednanie się za pośrednictwem wslawionego kucharza i klasycznej piwnicy, należą do najwyborniejszych scen utworu: żywcem wyjęte to z życia i suto miejscowym kolorytem obleczone.—Oryginalniejszą i więcej znaczącą w swoim rodzaju jest postać jego pierwszej żony, owej prostej dziewczyny z praczkarni, która bosa i głodna pędziła za nim w kraj świata. Nieładne to, niechlujne i próżniacze stworzenie, ale dusza czysta i kochająca, zadowolona w złej i dobrej doli, szczęśliwa czy w łachmanach czy w szejtach, byle przy mężu, umiała go uszczęśliwić: oryginalność godniejsza i wyższa od wytwornej arystokratki, która narzuciła się mu nikczemnie, ażeby mu życie zatruci.

Dla czego właściwie ożenił się z nią Kacper, potrzebowałoby to komentarza, lubo nie idzie za tem, iżby rozsądny człowiek nie miał popełnić głupstwa i dać się usidlić na miodek zdrady. Nie będziemy zastanawiać się nad tem, ale to pewna, że autor w samym końcu, nie słowem wprawdzie ale faktem, zobowiązał się niejako w dalszym ciągu do powieści bardzo interesującej, której niechęć całkowity plan w grubych zarysach nakreślił.—Już w pierwszych chwilach pożycia, Kacper w samotności kiwa głową i wymawia rozpaczliwe: ha! Cięża nad nim szatany w postaci żony, świekry i szwagra, z którymi on walczyć będzie musiał o niepodległość, spokój domowy i całość majątku. Co większa, Podkomorzyc Karol, bez żadnego powodzenia dotychczas zastawiający sieci na jakąś złotolusną rybę, oczekuje na podrost tej, która chowa się w domu Mędzińskiego, boć to jego jedynaczka, przyszła dziewczeczka dwóch potężnych kluczy; że zaś ta już objawia pewne, dziecięce wprawdzie, w inną stronę skłonności, które mogą przybrać charakter poważnego uczucia, przeto zdaleka już postrzegamy jakąby dzielnią z tych wszystkich żywiołów wyprowadził osnowę p. Jeź, gdyby mu sprzyjała ta sama werwa, z którą zabrał się do napisania *Ofiar*.

Kazimierz Kaszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Sfinks.—Dramat w 4 aktach, O. Feuilleta.

Przed kilkoma miesiącami dochodziły nas ciekawe wieści z miasta nad Sekwaną o niejakiej panie Croizette, która w dramacie „Sfinks“ zwabiała tłumy publiczności, uczone ciało lekarzy, rade przypatrzyć się i podziwiać doprowadzone do perfekcji konwulsyjne drgnięcia jej przedśmiertne. Nikt wtedy nie mówił o sztuce, ale wszyscy o tej grze dzwacznej, zrywającej tak bezwzględnie ze wszelkimi warunkami estetycznymi.

Już samo to milczenie o sztuce, powinno być przestrzedz naszą scenę od wprowadzenia jej u siebie, jakkolwiek autor jej liczy się do lepszych pisarzy Francji. Ale ten autor zapomniął po raz drugi, że co może być pięknem i dosyć logicznie wytłumaczonym w powieści, to może się wydać fałszem i nienaturalnością w dramacie,—co mogło się podobać w „Julie de Trécoeur,“—to nie zjednało poklasku „Sfinksowi.“

Przypatrzmy się głównej bohaterce.

Łatwo się domyślać, że ta, która umiera na scenie, jest główną bohaterką. Zdawałoby się, że jej śmierć powinna obudzić w nas jakieś współczucie, boć przecież musiały na nią wpłynąć jakieś pobudki moralne. Tymczasem tak wcale nie jest. My—to jest widzowie i recenzent, wcale charakteru istotnego tej kobiety nie znamy. I rzeczywiście, *Sfinks*, który oznacza pierścionek bohaterki z zawartą w nim trucizną, daleko właściwiej dałby się zastosować do jej charakteru. Zagadka całej jej osoby, rozjaśniona w powieści jako tako, na scenie pozostaje zagadką, choć zapewne nie była nią w umyśle autora, każącego mimowoli widzom być domyslnymi.

W tem błąd kardynalny.

Hr. de Chelles powinna tak mówić i działać, iżbyśmy się domyśliłi przynajmniej co uczyni w chwili stanowej, iżbyśmy zrozumieli motywa jej czynów. Inaczej będzie wszystkim, tylko nie tą postacią, na której autorowi zależało.

Ta piękna „skandalicznie elegancka,“ płocha, namiętna, kapryśna hrabina, zdaje się być wszystkim na raz, to jest i kapryśnym rozpieszczonym dzieckiem i temperamentem namiętnym i naturą energiczną i kobietą obdarzoną ową zuchwałą wyobraźnią, która z pewną rozkoszą wyzywa do walki niebezpieczeństwa, okraża przepaści.

A co gorzej, jest taka chwila w dramacie, w której widzimy jej rękę gotową spełnić morderstwo! Cóż tu myśleć o tak różnorodnie i niejednolicie przedstawiającym się charakterze? Czy można twierdzić, że się go zna dobrze, że się nie przechodzi w miarę scen, z jednej niespodzianki w drugą, z jednego zadziwienia nie dającego się wytłumaczyć logicznie, w inne?

Pani de Chelles niby kocha prawdziwie swą przyjaciółkę, bo się dla niej nawet poświęcić pragnie, a jednak w minutę potem, zdradza ją bez zważania się, swobodnie, jak gdyby spełniła najświętszy obowiązek. Pani de Chelles pogardza mężczyznami, w żadnym niby zakochać się nie mogąc, a jednak mniej lub więcej, romansuje ze wszystkimi, i naznacza im schadzki. Dziwne wreszcie to poświęcenie dla przyjaciółki, mające się dokonać kosztem własnej sławy, kosztem ucieczki z domu od męża....

Niema najmniejszej konsekwencji w postępowaniu, najmniejszej godności w uczuciu kobiecym, i chyba Feuillet pozazdrościł nagle wawrznów Dumasowi synowi, zebranych za teorye o nikczemności kobiety z natury?

Hrabina de Chelles mieszka w zamku swego męża, który gdzieś daleką morską odbywa podróż. Co on za jeden—nie wiadomo, zdawałoby się jednak ze słów własnej jego żony, że musi być złym mężem i zepsutym człowiekiem. W nieobecności więc jego, cały rój admirałów kręci się około tej słomianej wdowy, która ich nie odpycha stanowczo, ale się nimi, jakeśmy rzekli, na swój sposób bawi.

Jeden jest oficerem marynarki, drugi próżniakiem salonowym, trzeci artystą muzycznym, a czwarty nareszcie bogatym lordem angielskim. Ten, niby najzaciewniejszy między kolegami, nie pragnie niczego więcej, tylko zawieźć piękną uwodzicielkę w samotne góry Szkocji.

Wszystkim tym chciwym zabiegom ma niby przeszkadzać teść hrabiny, poważny, siwy admirał, który wyraźnie oświadczył swej synowej, że w razie popełnienia głupstwa, zabije ją i który mniej więcej to samo oświadczył wszystkim admirałom. Przypomina on mocno straszdyło na wróble, zatykane zwykle w najbujniejszym zbożu. Samo już takie groźenie, mogło zachęcić tylko ciekawą przedewszystkiem naturę pięknej kokietki, która za bardzo silne wrażenie, gotową byłaby ponieść dosyć chętnie śmierć, o ile z kilku wskazówek odgadnąć można. Lecz niema obawy, iżby pan admirał skrzywdził kogokolwiek, bo znika on zawsze, gdy najbardziej potrzebny, a grozi tylko wtedy, gdy te pogroźki na nie przydać się nie mogą.

Każdy z wielbicieli, pali do pani domu koperczaki, ale żaden nie jest wstanie usunąć jej obojętności. A jednak — domyślamy się tego — że ona kocha. Kogo?

Pana de Savigny, męża swej przyjaciółki, który obchodzi się z nią zimno, obojętnie, pogardliwie prawie. Właśnie dlatego kocha go, że widzi w nim surowego sędziego swych postępów, który karci każdy jej ruch i każde spojrzenie. Czy zaś ten dosyć nudny i fałszywy moralista, kocha ją wcale, o tem dokładnie trudno byłoby się dowiedzieć od samego nawet autora.

Niby kocha swą żonę Bertę wiernie i uczciwie, bo ją chce odciągnąć od towarzysztwa Blanki, która mu się wydaje dla niej niebezpieczną, i niby zamiar ten dyktuje mu zimna tylko rozważa, a nie żadna obawa własnej namiętności,—a jednak wkrótce potem, to jest w chwili, gdy się dowiaduje, że lord ma wykraść Blankę, traci równowagę i najniespodziewaniej wyznaje miłość i odbiera od niej zapewnienie miłości. Jakimże to sposobem się stało? Czy ją rzeczywiście kochał? Czy tylko lękał się puścić wodze temu uczuciu, żeby się za daleko nie posunął?

Jakżeż przyszli do tego oboje?

Oto takim. Kiedy p. de Savigny objaśnia żonie że powinni natychmiast wyjechać, Blanka podsłuchuje podeszwami. Wehodzi więc śmiało i czyni wyrzuty przyjaciółce. — „Chcę mówić z twoim mężem—ręczę—bo on mnie nienawidzi. — Żona zgadza się na to.

W rozmowie z panem de Savigny, zapytuje go, dla czego jest jej nieprzyjacielem,—na co tenże odpowiada, że istotnie lekkomyślne jej postępowanie oburza go, ale że miałby ogromny respekt przed zapomnieniem się kobiety, pochodzącem z wielkiej, prawdziwej miłości. — „Kiedy tak—czytaj pan—ręczę Blanki i podaje mu plik listów, które są pamiątkami jej serca. Na to wchodzi admirał i ujrawszy papiery pyta, co to jest? — Gdyby Savigny nie odezwał się w tej chwili, że jestto rola przepisana przez Blankę dla niego, dla komedyi amatorskiej—admirał podobno zabiłby swą synową, — ale pan de Savigny skłamał, i... dla tego mamy ciąg dalszy.

Berta wszakże zaniepokoiła się mocno—wymaganie tej rozmowy, zmieszaniem męża, słowem, zaczyna być mimowoli zazdrośną.—Blanka, która niby kocha z całej duszy swą przyjaciółkę (bo cały jej charakter mieści się w tym wyrazie: *niby*) powiada do niej: „Przekonam cię, że byłaś niesłusznie zazdrośną—i woła owego lorda, któremu pozwala wprowadzić się o północy.

Dla czego to czyni, dla czego się chce z taką swobodą zbezczeszczyć, czy tylko dla uspokojenia przyjaciółki, o którą wkrótce później wcale nie dba, czy dla pomszczenia się na panu de Savigny i wywołania w nim przeto najwyższej zazdrości, łatwo przemieniającej się w ognistą namiętność?—tego dokładnie wiedzieć się nie można.

Zatem ucieczka w nocy. Berta zrozpaczona, że przez swoją zazdrość wciągnęła Blankę w przepaść, zaklina swego męża, ażeby biegł do niej i uratował ją od hańby. Namówiła go, a on namówił znowu Blankę, iżby nie uciekała, temi słodkimi słowy: „jeżeli mnie nie usłuchasz, głowę Ci roztrzaskam o skały“. A rozczulona Blanka woła z uniesieniem: „Więc mnie kochasz!“

I rzucają się sobie w objęcia.

Berta jednak, mimo że ciągle zapewnia męża, iż nie jest zazdrośną, wysłuchała wszystkiego, za skałę czy też za drzewem. Jużto przyznać trzeba, że w tej sztuce kto w Boga wierzy, podsłuchuje i szpieguje, jedno tylko poczciwe admirałisko nie jest bynajmniej ciekawem, gdy właśnie on najciekawszym byłoby powinien.

Berta przeto wie o wszystkim, lecz ma odwagę zachowania tajemnicy przy sobie; z drugiej strony, szlachetny lord także uszu nie żałował, stojąc ukryty za drzewem.

W ostatnim króciuchym akcie,—jesteśmy u Berty znekanej i smutnej, bo niestety tak jak podsłuchiwała za skałą, tak również szperała po szufladach, i wynalazła owe listy Blanki pisane do jej męża.

Zapłakana rozmawia z lordem — a równocześnie Blanka hula na koniu z mężem Berty, któregośmy zrazu poznali jako mężczyznę honoru i „nieugiętych zasad“. Pan admirał, który także konno przyjechał do Berty, zachwyconym się czuje przejażdżką swej synowej i tem że lord już odjeżdża, bo tylko o niego lękał się cokolwiek.

Blanka wraca z przejażdżki—Savigny powiada jej że listy ktoś wykrał, następuje rozmowa burzliwa między dwiema kobietami. Berta przyznaje, że wzięła listy i grozi Blance admirałem, jeżeli natychmiast nie wyjedzie. Blanka odpowiada z zimną determinacją: „Zawołaj admirała—nie pojedę“. Znekana tą zuchwałością Bertę, pada zemdlona i woła: wody! Wtedy Blanka wysypuje proszek ze swego pierścienia i przez chwilę ma zamiar, tak zaprawiony napój podać przyjaciółce, ale dobre uczucia przemagają—wysypuje go sobie do szklanki i kona. Na tem koniec.

Z treści samej, zda sobie już czytelnik sprawę z wartości sztuki. Krótka można się z nią rozprawić: Założenie ciemne i nierozwikłane, temat oklepany i zużyty, charakterzy nakreślone tak niewprawną ręką, że ani o Blance, ani o p. de Savigny, o nim zwłaszcza, nie wiedzieć nie można, co oni za jedni. Niema ani w rozwinięciu uczuć logiki i konsekwencji, ani co prawda, niema i samego rozwinięcia Autor wziął same ostateczne, nagie fakta ze swe

powieści i tak oderwane przeniósł na scenę, zapominając, że nie wszyscy czytali jego powieść i że jeden i ten sam temat innego potrzebuje przygotowania w powieści, a innego na scenie.

Niezachwylił nas przeto nawet tem, czem Francuzi zawsze wygrywają, nawet tem czem sam zasłynął; to jest scenicznością kunsztowną i przeprowadzeniem konsekwentnem postawionej tezy. Lecz — gdyby nawet dokonał dzieła dobrego pod względem artystycznym, to czyżby nas zając mógł temat sam, tak już wyzyskany, tak już nawet na naszej ubogiej scenie, wszechstronnie ograny?

Publiczność dowiodła zimnem zachowaniem się, swej obojętności na czyny heroin tego rodzaju, które nikomu u nas nie przydadzą się na nic, bo nie mają za sobą wymówki choćby namiętności wielkiej, jednej z tych, które duszę wstrząsają do głębi.

Nie chcemy za złe brać wyboru tej sztuki u nas o tyle, o ile niezawodnie wybierającym powodował ten wzgląd, iż była to nowość głośna w świecie, a więc, że nie zawadzi zapoznać z nią i tutaj.

Wzgląd ważny, bo dyrekcya nasza powinna podawać nowości, lecz powinna umieć robić wybór między niemi, a jeżeli tego uczynić nie jest w stanie, powinna, — jak to już wiele pisaliśmy razy — ustanowić komitet, rozpatrujący wartość wszelaką sztuk, godnych przedstawienia.

Co do gry artystów, przyznać trzeba, że była ona w całości staranną, ale dla niektórych, jak np. dla p. Leszczyńskiego w roli nieokreślonej p. de Savigny, dosyć trudną i niewdzięczną.

Dla tego w pierwszym akcie p. Leszczyński, gdy ufać sobie może iż kocha żonę, a więc gdy objąć może umysłem logikę swego postępowania, podobać się musi naturalnością gry, objawionej tak w ruchach jak i w intonacyi. Lecz w dalszych aktach — staje się melodramatycznym, tak jak jego rola, za co go winić nie można.

Pani Modrzejewska (Blanka de Chelles) miała zadanie niezmiernie trudne i niewdzięczne, ale wywiązała się z niego bardzo umiejętnie. Gra jej była rozumną i subtelnie cieniowaną, zwłaszcza w akcie czwartym, w którym osiągnęła najwyższy efekt, właśnie przez skupienie w sobie tej energii, która gdy wybucha nagle, gotowa jest na wszystko. Żałujemy jej tylko, że sama sztuka nie zapewni tego powodzenia jej grze, na jakie gra ta niezawodnie zasługuje.

Panna Popiel dała nowy dowód, że jako utalentowana istotnie artystka da sobie rady z sobą, wchodząc właściwie w ścisły zakres dramatyczny. Coś prawda, rola Berty, jest tu jedną z wcale wdzięcznych.

P. Zaremba rolę admirała odegrał poważnie i starannie. W ogóle głos i postawa tego świeżo zaangażowanego artysty dosyć obiecują.

Dwie tylko jeszcze uwagi zrobimy, jedną p. Grubińskiemu, drugą kilku innym, których nie chcemy wymieniać po nazwisku.

P. Grubiński wziął na siebie rolę artysty — muzyka, grającego nawet Chopina w jednym z arystokratycznych salonów. Każdy więc domyśla się, że musi to być artysta nie ostatni, a w każdym razie dobre mający maniery i starannie uczesany.

Tymczasem pan Grubiński skopiował gdzieś jakiegoś pokątnego muzykusa, dosyć brudnego, bywającego zapewne u ludzi prostych i niewiele wymagających, którym imponował zarzucaniem w tył i naprzód włosów. I taką podrzędną a niestosowną karykaturę, przeszczepił w salon admirała Francyi. Nie tą drogą zdobywa się wawrzyny i nie na takich kopiach uczyć się trzeba prawdy. Muzyk w sztuce Feuilleta, jest tylko nieśmiałym, zakochanym i romantycznym, ale nie fagasem, źle ubranym i umyłym, gdyż takich, hrabiowie i książęta używają do innych usług. Druga uwaga, tyczy się wprowadzonej od niejakiego czasu przez niektórych artystów, przesadzonej swobody w ruchach i całej postawie. Jeżeli śmieszem jest zbyt sztywne krępowanie się i zwracanie frontem do publiczności, to niemniej a nawet jeszcze śmieszniejszym, jest odwracanie się tyłem do niej ciągle i tak bezceremonialne, że słów które ci panowie mówią, wcale nie słychać.

Potrzeba we wszystkim umieć zachować miarę — i jeżeli reforma swobody ruchów, ma polegać na ukazywaniu fizyognomii kulisom, to prosilibyśmy o wrócenie się do dawnych zwyczajów. Przekład dokonany

był widocznie z pośpiechem, nieoglądającym się na trafność, a nadewszystko na swojskość wyrażen.

Edward Lubowski.

RUCH MUZYCZNY.

Sprzedana narzeczona.

Sprzedana narzeczona! Cóż za złowrogi tytuł! Ileż pola zostawia wyobraźni, jakie straszne dramata powstawać mogą w myśli pięknych czytelniczek moich, spodziewających się odemnie jakiejś okropnej powieści w rodzaju Rinaldiniego, powieści pełnej jaskiń, zbójców, pojedynków, porwań, i tym podobnych czarujących okropności!

Lecz.... do powieści nie mam talentu; a nie chcąc dłużej nużyć ciekawości czytelniczek łaskawych — powiem poprostu, że moja sprzedana Narzeczona nie ma w sobie nic dramatycznego — jest to sobie sielanka, ubrana w formę libretta operowego, przez niejakiego pana Sabina, zaś obdarzona muzyką przez znakomitego współczesnego kompozytora, Fryderyka Smetanę, Czecha, stale zamieszkującego dziś w Pradze. Opera ta po czesku nosi tytuł: „Prodaná Nevěsta,“ i o niej to, a zarazem o jej autorze nieznanym prawie u nas, kilka słów zamieścić dziś zamierzam.

Sądzę, że bez przesady nazwałem pana Smetanę nieznanym u nas. Prócz mikroskopijnie szczupłej garstki muzyków nie sądzimy, by nawet setna część naszych diletantów słyszała o tym kompozytorze — krótki rys jego życia da nam go bliżej poznać, po czem rozpatrzmy w szczegółach operę, której tytuł wzięliśmy za godło niniejszego artykułu.

Frydryk (po czesku Bedřich) Smetana urodził się w 1824 r. w miejscowości Litomyšl w Czechach. Jak data sama pokazuje, jest to więc artysta lat już dojrzałych, a zważywszy na ciągłą jego i zaszczytną działalność na polu kompozytorskim i nawet wykonawczem, ubolewać przychodzi, jak późno dobre wieści z zagranicy dolatują do nas, skoro dotąd jest on dla nas tak mało znanym. Prawda i to, że Czechy oddawna nie miały żadnego znakomitszego kompozytora, więc były dla nas dość obce pod względem muzykalnym — a pisma niemieckie, z których zwykliśmy czerpać nasze informacje, bardzo mało lub wcale o nim nie mówią, bo.... bo jest Czechem. Nawet w kilku słownikach muzycznych niemieckich napróżno szukałem wzmianki o p. Smetanie, lubo spotykałem imiona innych artystów, mniej od niego zasłużonych.

Życie Fryderyka Smetany — jak niejednego artysty — przedstawia obraz walki z przeciwnościami — ale nie była to walka o sam byt materialny, jak nieraz bywa; nie — właśnie to swoje *wykształcenie* muzyczne musiał wywalczyć, gdyż został artystą wbrew woli ojca! Wiedział ów kochający ojciec zapewne, jak ciernistą bywa ta droga, skoro mimo wysokich zdolności syna, który w *szóstem* roku życia z powodzeniem już publicznie z grą na fortepianie się popisywał — mimo — a może *dlatego* — że sam dobrym był muzykiem; stanowczo chciał młodego Fryderyka wygnąć z zaczerpniętej krainy dźwięków, i zrobić zeń prawnika. W tym celu wybrał mu do nauki gimnazjalnej miejscowość, gdzie prawie niepodobna było o posłyszenie dobrej muzyki. W tem rozłączeniu z najdroższymi sobie wrażliwymi, przeżył młodziwiec do 18 roku życia, wynagradzając je sobie własną pracą, i pilnie studując dwa instrumenta: skrzypce i fortepian. Pojechawszy w tym czasie do Pragi, wrzekomo dla dokończenia studyów prawnych, nie mógł dłużej oprzeć się wyraźnemu powołaniu, i już niezważając na zakaz swego rodzica, stanowczo poświęcił się wyłącznie muzyce, i odbył samienne studia *czterolatnie* pod kierunkiem Prokscha. Wezwany na posadę nauczyciela muzyki do domu hrabiego Leopolda de-Thun-Hohensteina; pozostawał w domu tym przez 5 lat, i począł tworzyć pierwsze swoje kompozycje na fortepian, które posłał na los szczęścia, do Franciszka Liszta. Utwory te tak się Lisztowi podobały, że za jego staraniem wydawca Kistner

w Lipsku wydrukował op. 1 i 2 pod tytułem: „Morceaux caractéristiques“ i „Stambuch-blätter.“ Powodzenie tych dzieł, jak i kilku innych późniejszych, zachęciły Smetanę do kompozycji na szerszą skalę, które lubo nadzwyczaj często i z powodzeniem wykonywane publicznie, po większej części nie doczekały się dotąd wydawcy. Są one następujące: Sonata (G moll) na fortepian; Trio na fortepian, skrzypce i wiolonczellę i trzy *poematy symfoniczne* na orkiestrę, oraz Tryumfalna Symfonia na temacie hymnu austriackiego osnuta.

Dalej: Shakespeare — Marsz, na uroczystości Szekspirowskiej w Pradze wykonany (i w cztero-ręcznym układzie na fortepian wydany). Również wyszło z druku kilka chórowych kompozycji, wykonywanych nieraz w Pradze z wielkim powodzeniem.

Wszystkie powyższe wymienione utwory zjednały autorowi ich niepospolitą sławę w świecie artystycznym — szczególnie w własnym kraju. Ale najbardziej do popularności imienia jego przyczyniły się opery, grywane w Pradze na czeskiej narodowej scenie.

Pierwszą była opera „Braniboři v Cechach“ (Brandeburczycy w Czechach) z ogromnem powodzeniem wystawiona w Pradze, po raz pierwszy w d. 5 Stycznia 1866 r. W tymże roku d. 2 maja, i z równem a dotąd utrzymującym się powodzeniem daną była „Prodaná Nevěsta“ — i oprócz Pragi kilka innych scen słowiańskich przyswoiło ją sobie. Dnia 15 maja 1868 r. ukazała się nowa opera: „Dalibor,“ zaś d. 27 marca 1874 roku opera komiczna: „Dwie wdowy.“ Pięta wielka opera historyczna: „Libusa“ od lat kilku już ukończona, dotąd przedstawioną nie była, ale jest jednym z pierwszych dzieł, przeznaczonych na uroczystość otwarcia nowego wielkiego Teatru, obecnie będącego na ukończeniu.

Tak znakomita artystyczna działalność Smetany dowodzi, że słusznie nasi bracia Czechowie się nim szyczą, jest on bowiem dla nich tem czem dla nas Moniuszko. Prostota pomysłu łączy się w nim z dojrzałością i obrobieniem uczonego muzyka, a co najważniejsze, że tak treścią swą, jak i formą muzyka jego jest przedewszystkiem i z gruntu narodowo-czeską. Obeznanie się z nią przynosi nam więc do duszy jakiś nowy pierwiastek, i tem szerszą przejmując sympatją, że zawsze wieje z niej jakiś duch pokrewny naszemu, i o wiele dla serc naszych zrozumialszy od Wagnerowskich naprzykład arcydzieł.

W uzupełnieniu krótkiego życiorysu naszego mistrza dodamy, że od 1849 do 1855 roku prowadził on z pomocą swej pierwszej żony (z domu Katarzyny Kolarz) szkołę fortepianu w Pradze; od 1856 do 1861 r. był dyrektorem filharmonicznego stowarzyszenia w Gothenburgu w Szwecyi. W ciągu następnego roku podróżował jako koncertista (na fortepianie) po Szwecyi, Holandyi i Niemczech, poczem stale osiadł w Pradze, dając lekye, zaś w 1866 r. mianowany został kapelmistrzem czeskiego teatru, a następnie w 1870 roku artystycznym dyrektorem opery.

Teraz słówko o „Sprzedanej narzeczonej.“ Znamy to dzieło tylko z partytury fortepianowej. Wnosząc ze staranności, z jaką strona harmoniczna jest opracowana, żałujemy, że nie możemy poznać rozlicznych piękności, jakie musi nadawać operze instrumentacja. Sprawozdanie więc, które czytającej publiczności podajemy, jest niejako sprawozdaniem ze sztychu, a nie z obrazu — rysunek, kompozycya, światła i cienie istnieją, ale kolorytu brak — lubo już i sama harmonia w części kolorytem jest każdej kompozycji muzycznej.

Nic prostszego jak sama osnowa opery. Marenka (Marzenka-Marya) dziewczyna wiejska, kocha niebogatego Janka, kocha prawdziwie, nie pytając: „kto on jest i z kąd przychodzi.“ Rodzice jej, zamężni gospodarze, niechętnem patrzą okiem na to uczucie — i podobno nawet zabronili kochankom widywać się z sobą. Natomiast chętnieby przyjęli swatów od bogatego Waśka, syna Michy, który choć nie grzeszy zbytkiem rozumem, ale zapewnia ich córce to materialne, trwałe szczęście, które wielu rodziców wyżej nad duchowe względy w przyszłości swych dzieci cenią. Swat, stary wyjadacz w swoim rzemiośle — pragnie skojarzyć to małżeństwo,

a chcąc usunąć niebezpiecznego konkurenta — wymyśla sposób niby nader dowcipny: oto postanawia u biednego Janka kupić narzeczoną. Janek, nie w ciemnie bity, targuje się długo, nareszcie dobija targu za trzyseta talarów, i podpisują oba umowy, mocą której Janek (Jenik) wraca słowo Mařence, pozwalając jej zaślubić syna Michy, którego sama sobie wybiera. Swat tryumfuje — lud obecny zgorszony tak niecnym handlem. — Lecz tu właśnie leży węzeł intrygi. Janek jest także synem Michy, ale z pierwszego małżeństwa, synem nielubianym — i oddawna w innej okolicy mieszkającym — tu znany jest tylko z imienia, a nikt o tem jego pokrewieństwie z Waskiem nie wie, nawet narzeczoną.

Łatwo się domyśleć końca — Mařenka rozpacza, kłóci się z kochankiem — lecz prędko następuje wyjaśnienie i pomyślnie rozwiązanie. Jakim sposobem z tak prostego tematu można było utworzyć 3 akty muzyki, i to dobrej muzyki? Oto tak:

Najprzód jest uwertura. — Ustęp to długi i nader trudny do ocenienia w samym tylko fortepianowym układzie. Praca jednak kontrapunktyczna głównego motywu, oraz świeżość dalszych tematów, każą się domyślać pięknego wrażenia całości.

Po przegrywie orkiestrowej, utrzymanej w sielankowym (pastoralnym) charakterze, następuje chórek zrobiony z tematu prostego, a milego niezmiernie (podobno ludowego) a rozrobionego z wielką sztuką i wdziękiem. Po chórze następuje aria Mařenki, właściwiej piosnka, wypowiadająca spokojne uczucia miłości, i zarazem grożąca gniewem kochankowi, w miarę gdyby co złego się na niego pokazało. Ale nie pokazuje się nic i kochankowie śpiewają duet, którego drugi motyw, długo trzymany w monotony, jakby ekstazyjnym charakterze, świadczy o głębokości ich wzajemnego przywiązania. Powtarzanie tematu jest w nim może za częste — wszakże jest to środek, widocznie umyślnie przez autora w paru miejscach opery zastosowany. Temata wszędzie świeże — w pierwszych dwóch numerach zdają się trochę natchnione duchem rossyjskiej muzyki. Temat przynajmniej pierwszy w duecie nosi charakter śpiewki ludowej, zaś w arii Marzenki powtarza się często figura melodyjna, dość ulubiona u Rubinstejna (np. w romansie jego „Azra“). Za zbliżeniem się jastrzębia pierzchają gruchające gołabki — czyli (przepraszając za porównanie) za nadejściem rodziców Marzenki, kochankowie nie chcą być widzianymi, — odchodzą.

Teraz zjawia się swat (Dohazovač, po czesku). Pyszna to figura. Tekst i muzyka znakomicie charakterystyczna, wybornie go nam przedstawia. Wyobrażamy sobie odrazu podtatusiałego kawalera ubranego z fantazją, w czapce na bakier, który z dumną miną pokręcając duże wąsiska, mówi: śmiało oddać córkę możecie, temu, kogo polecam! Ja! Ja! Ja! Każde „Ja“ wzięte jest o oktawę niżej, zaczynając od wysokiego a do niskiego basowego E. Dalszy ciąg tercetu stanowi melodia mniej żywa, ale bardzo umiejętnie i zajmująco przeprowadzona. Skromna doza przyzwoitego komizmu nadaje życie temu ustępowi, nie będąc wcale trywialną.

Szczególniej zabawne jest wyliczenie ujemnych przymiotów kawalera. Ma on być „neni velki ani mały, neni tuczny ani suchy — neni chromy ani hluchy, neni furiant ni hloupy“ i t. d.

Wechodzi Marzenka. Na uczynioną sobie propozycję odpowiada, że ma już miłego, przyczem orkiestra przypomina ustęp z duetu miłośnego z Jankiem. — Po tej scenie następuje finał — lud zebrany przed gospodą tańczy polkę — dość uczenie skombinowaną z chórem — może to połączenie jest ludowe?

Akt II. Gospoda. Ludek pije piwo — i śpiewa bardzo ładną piosnkę pijacką — która albo jest czysto ludowa, albo z wielkim talentem, z ludowej nadsładowana. W czeskim bowiem śpiewniku znalazłem jedną dziwnie zbliżoną do niej charakterem rytmów, naprzemian spokojnych i poważnych, naprzemian żywo triolkami kroczących naprzód. W środku tego chóru pięknie wpada szeroki i pompatyczny ustęp śpiewany przez Swata, który powiada, że dwie najlepsze rzeczy są: *dobra rada i pieniądze*.

Potem znów taniec zwany furiant (Waryat). Temat jego przerobiony z ludowego motywu.

Komiczna piosnka — mniej ładna, głupiego Waska.

Duet jego z Mařenką. Treść taka: ona mu żartem opowiada, że jakaś panienska w nim się kocha. — Bardzo to świeże, czułe i ładne jako motyw. Często-kroć (co i w innych ustępach opery się powtarza, lubo bez Wagnerowskiej przesady) orkiestra gra cały temat, a głos śpiewa go częściowo. Po Andante idzie Allegro żywe, cokolwiek ze powtarzane. Andante powraca...

Następuje scena targu o narzeczoną już wyżej opisana. Dobra muzyka.

Romans Jenika mniej oryginalny i nie w słowiańskim charakterze. Za to finał wyborny — maluje się w nim właśnie oburzenie ludu na zawarty targ.

Akt III. Piosnka jękającego się Waska. Pełna sprytu i oryginalności w rytmie. Wejście kome-dyantów jakichś zupełnie niepotrzebnie do Libretta wprowadzonych. Balet. Ładny taniec zwany Skočna (Galopada). Duettino dwojga aktorów — bez znaczenia. Wejście Marzenki. Namawiają je aby się rozstała z kochankiem niewiernym. Ona się waha. Sekstet prześlizny: „Namyśli si Mařenko, namyśli!“ Arya Marzenki pełna ekspresyi i smutku za straconą miłością miłość nazywa się *laska!*). Arya kończy się komtemplacyjnie jak marzenie. Wejście Jenika, recitativo śliczne i pełne wyrazu. Idące po niem allegretto (a moll) w rytmie jakby polki lub Krakowiaka, nie dobrze odpowiada sytuacji, dość dramatycznie napiętej.

Wechodzą rodzice Janka i Waska. Rzecz się wyjaśnia. Finał ten bardzo ładny i żywy. Vivace (f dur) prześlizny. Przerzywa je najniepotrzebniej w świecie wejście... zgadnijcie czyje? *Niedźwiedzia*. Chwila strachu, potem śmiech. Tym niedźwiedziem bowiem jest Wasiek przebrany w niedźwiedzią skórę, który jakoby z miłości dla aktorki Esmeraldy — przystaje do aktorów i występuje w roli którą ma grać u nich! Koncept niegodny zakończyć tę miłą ze wszech miar operę. — W razie przedstawienia u nas tej sielanki dramatycznej — czego gorąco życzymy — możnaby może po porozumieniu się z autorem, zmienić to zakończenie.

Rozliczne piękności partytury mogłyby jej zapewnić na naszej scenie trwałe powodzenie. Temata jej wzięte w wielkiej części z ludowej skarbnicy, mogłyby silnie podzielać na nas — i uleczyłyby z nudów, w jakie wpadamy słysząc ciągle powtarzanie tychże samych oper. Oby słowa nasze nie były głosem wołającego na puszczy!

Jan Kleczyński.

Kronika naukowego, artystycznego i społecznego ruchu kobiet.

Wykłady dla kobiet przy Muzeum technicznym D-ra Baranieckiego w Krakowie, zaznaczyły się znakomitym nabytkiem: kierownictwo nad szkołą rysunku przyjął Matejko. Fakt ten dowodzi, jak instytucja D-ra Baranieckiego poważne ma znaczenie i choć nie nosi jeszcze tego tytułu, jest to już w gruncie rzeczy najzupełniejsza akademja dla kobiet, taka szkoła wyższa, jakiej potrzeba, aby wykształcenie średnie, nabywane zwykle po pensjach, dosięgnęło stopnia wyższego. Uzupełniając wyżej podaną wiadomość dodać trzeba, że z otwarciem tegorocznego kursu nauk, przybyło szkole dwóch stałych profesorów rysunku: Lipiński i Abramowicz.

Paryżkie *Szkoły fachowe dla dziewcząt* (Ecoles professionnelles de jeunes filles), zostające pod przewodnictwem pani Juliuszowej Simon, żony znanego pisarza, a przed niedawnym czasem ministra oświecenia we Francji, rozwijają się bardzo szczęśliwie i okazują postęp stały. Czytelniczki „Bluszczy“ znają dzieje ich powstania, historję trudnego ich początku i poświęcenia kobiety, której myśl je zrodziła, której siostrzane uczucie dla ubogiej córki ludu, zdołało im zapewnić istnienie trwałe. Pani Eliza Lemonnier dała im na ofiarę życie swoje w literalnym znaczeniu tego wyrazu, gdyż choroba nabyta wśród mozolnych trudów przyjętego na siebie zadania, przecięła wątek użytecznego życia. Ale z grona zacnych kobiet, które zgromadziła sobie

do pomocy, wystąpiła natychmiast godna jej zastępczyni, wspomniana wyżej Juliuszowa Simon, i śmierć założycielki nie zachwiała bytu instytucyi. *Szkoły fachowe dla dziewcząt* rozszerzają swój zakres tak przez właściwe rozgałęzienia, jak przez pobudzenie do działania w tym kierunku oświaty ludowej innych grup społecznych. Jakim jest duch ożywiający te dobroczynne ogniska, powstałe — jak się wyrażają dzienniki paryżkie — z serdecznej iskry kilku szlachetnych i rozumnych kobiet, wykaże piękna mowa pani Coignet, miana przy zeszłorocznym zamknięciu nauk i rozdawaniu nagród w wielkiej sali cyrku zimowego, gdyż cała instytucja jest zupełnie prywatną i stoi jedynie zacnem poświęceniem stowarzyszonych jednostek.

W obec licznie zebranej publiczności mówczyni przemawiała ze wzruszeniem do uczennic. „Ogólne wykształcenie umysłu, udzielane wam w szkołach naszych obok wykształcenia fachowego, daje wam możność tego rozwoju, który powinien być wspólny wszystkim członkom cywilizowanego społeczeństwa. Ale wykształcenie specjalne i techniczne — zawód — jest dla was srodkiem do życia, jest przyszlętem stanowiskiem waszem w świecie. Posiadając profesję, fach, nie jest się już istotą niedołączną i od zbiegu okoliczności zawisłą, ale czynnym i pożytecznym członkiem społeczeństwa, który zyskuje sobie odpowiednią temu godność i należny praw. Zawód obrany daje wam w ręce, jakgdyby narzędzie ułatwionego istnienia, pozwala śmiało spojrzeć w życie, podnosi nad jego konieczności ciężkie i ciemne przepaści nędzy. Wasza przyszłość staje się już dziełem własnego rozumu i wysiłków własnej waszej woli — posiadacie w sobie moc rządu nad sobą. W naszym demokratycznym społeczeństwie francuzkiem możliwości pracy jest najpierwszą emancypacją, najwyższą swobodą, a zawód wasz nie odosobni was w życiu, nie wyłącza z rodziny i wmieści tylko w poczet obywateli Francji, z której sprawą zwiążecie się silniej. Ręka wasza przyłoży się do wytworzenia bogactwa krajowego, które jest jedną z sił narodowych; wprowadzając sztukę w przemysł, uszlachetnicie go, podniesiecie w szacunku pracę i pracujących. A umysłowe wykształcenie wasze, wyższe od posiadanego przez poprzedników w obranych zawodach, roztoczy koło waszych osobistości swój krąg świetlany. Tak to zaznaczy się droga waszego przejścia przez społeczeństwo, takim będzie wasz udział w postępie naszego narodu“.

Szlachetna ta mowa, zbyt przecież była długą, aby w całości umieścić ją można; najpiękniejszą jej częścią jest ustęp, w którym mówczyni dowodzi uczennicom, że umiejętność pracy jest czemś więcej jeszcze, niż dobrobytem fizycznym i pozyskaniem stanowiskiem — jest źródłem moralnej wielkości człowieka, źródłem sił i wewnętrznych radości jego ducha. Tkliwa jej uwaga znalazła już ślad tego w rozwoju moralnej istoty uczennic. Praca ich była rzeczywiście dopiero wstępem do pracy, a przecież już wydała owoce swoje. Gdy młode dziewczę schyłone nad książką rachunkową lub igłą, z ołówkiem, ryłem sztycharskim, czy dłutkiem drzeworytniczką w rękę, spotkało się nagle z trudnością, które zwyciężyć trzeba było, baczne oko przewodniczki widziało pracę młodego ducha: rozwijającą się energię, próbującą się wytrwałość, cierpliwość i siłę urabiającego się charakteru. Tak mechaniczna praca, przynosiła swój dobroczynny skutek: słodkie uczucie odniesionego tryumfu, spełnionego obowiązku, uczucie szlachetnej dumy i zadowolenia wewnętrznego. Taka samowiedza sił swoich, takie świadectwo sumienia, nie jest ani próżnością, ani pychą i rozumna przewodniczka pracowitej młodzi nazwała też uczucie podobne „dobroczynną nagrodą pracy“. Każda podobnym promieniem radości ozłocona chwila jest drogocennym klejnotem w skarbnicy życia ludzkiego i z nich to tworzy sobie człowiek łańcuch wspomnień słodkich, zapas serdecznych pociech, zapas spokoju i tej pogody ducha, która w godzinie wielkich prób i boleści służy mu za uchronie dobrą przed gwałtem łamiącego cierpienia — przed zwątpieniem i rozpaczą. Mówczyni wie, że życie nie jest jednym ciągiem spokojnego używania, ostrzega przed tem młode słuchaczki swoje i w moralnych przymiotach pracy każe im szukać obrony przed cierpieniem. Próby

życia są różne: tysiące trosk, żalów, obaw, wzruszeń, zastępuje drogi człowieka i mać pokój jego ducha, więc też ta kobieta starsza, ta siostra doświadczeńsza, daje młodszym dwie rady rozumne. „Cnota jest siłą czynną“ — powiada i pierwszą jej radą jest: — Nie rozżalajcie się nigdy litośnie same nad sobą, nie rzucajcie skarg na losy, nie myślcie o tem, jaką jest słabość wasza“.

Drugą radą jest to, aby z pracy czyniły sobie puklerz przeciwko pociskom nieszczęścia. — „Gdy duch wasz skłóci się w sobie, zażądajcie od pracy świętych i zawsze umacniających pociech...“ — mówi z siłą mocnego przekonania i dodaje, że praca zawsze je dać umie i nie odmawia ich nigdy tym, którzy walczą, pracując.

W *écoles professionnelles* młode dziewczęta uczą się rysunku, sztychowania litograficznego, drzeworytnictwa, wyrobu kwiatów, introligatorstwa ozdobnego, szycia i haftu ze wszystkimi zastosowaniami igły w krawieczyźnie i wyrobie strojów, oraz buchalteryi i rachunków. Wszystkie zaś bez wyjątku dostają gruntowne wykształcenie elementarne, na szerokich podstawach zakreślone.

Do dobrych prac kobiety francuskiej zaliczyć trzeba dziełko pani Hippolitowej Mennier: *Lekarz na wsi. Rozmowy o higienie* (Le Docteur au village, Entretiens sur l'Hygiène. — Paris, Hachette). Autorka jest córką lekarza i wiadomości zaczerpnięte od ojca służyły jej za podstawę do napisania dziełka, o którym lekarze francuzcy odzywają się bardzo pochlebnie, a między innymi znany czytelnikom przyjaciel kobiety-matki, Dr Brochard, wiele przychylny sąd wydaje. Jest to — jego zdaniem — bardzo dobra książka o higienie dzieci, w którą radzi się zaopatrzyć każdej matce francuzce. Przyjęta forma pogadanek, jest bardzo szczęśliwie dobraną, pozwala bowiem wśród rad udzielonych, odpowiedzieć na wszystkie zarzuty i obawy matek nieumiejętnych, uderzyć na wszystkie przesady, które zbić było trzeba. Autorka tak pisze w przedmowie: „Mimo nieustającego postępu nauki i coraz to nowych odkryć w tym zakresie, człowiek nie jest zdolnym utrzymać zdrowia swego w takim szczęśliwym stanie, jak zwierzę. Zkąd to pochodzi? Z braku najważniejszego dla nas wiadomości. Nie mamy instynktu zwierząt i trzeba nam zastąpić go wiedzą. Matki prawie w ogóle nie umieją chować niemowlęcia, brakuje im wrodzonych do tego wskazówek, jeżeli więc pozostaną nieoświeconemi, postawią się w dziele wychowania niżej od zwierzęcia. Że przecież od stopnia higienicznego wykształcenia i staranności matki zawisło zdrowie i szczęście rodzin, dowodzi wielka śmiertelność dzieci“. Autorka wykazuje na zasadzie wykazów statystycznych, że na sto dzieci, trzydzieści umiera, nie doszedłszy lat pięciu. Zmniejszyć niewiadomość matek, nianiek, oto sposób zabezpieczenia zdrowia ludzkości, bo nietylko dziecię mrawe o rozkwitu życia jest tej niewiadomości ofiarą. Pierwotne wychowanie stanowi niemal stanowczo o stopniu sił fizycznych, o stanie naszego zdrowia w przyszłości i autorka francuzka zwraca na to uwagę matek i tych wszystkich w ogóle, których obowiązkiem jest czuwać nad zdrowym rozwojem młodych pokoleń.

Autorka woła gorąco do matek o pokarm własnych ich piersi dla niemowlęcia. Niemożność dopełnienia tego obowiązku jest podług jej wykazań bardzo wyjątkowym przypadkiem. Tylko rozleniwienie próżniacze, brak serca, brak pojęcia się do obowiązku natury, podszeptuje kobiecie klas zamożniejszych podobną wymówkę. Egoizm ten staje się przecież grzechem dwojakiego rodzaju: matka wynaturza się i lekkomyślnie naraża zdrowie swego dziecięcia, obywatelka i chrześcijanka dopuszcza się ciężkiej winy kupczenia istotą ludzką. Mamka zastępująca w funkcji macierzyństwa zamożną matkę, to zaprzędane człowieczeństwo, to dziecię ludu skazane u wstępu do życia na brak głodowy i opuszcze-

nie najboleśniejsze. Pieniądz matki bogatej kusi matkę ubogą — i stają w obec Boga i ludzkości dwie przestępczyni.

NA WSCHODZIE,

USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

Handel herbata.

(Dokończenie)

Farbują zazwyczaj jasnoblękitną farbą, zmieszaną z siarczanem wapna. Niewinny to środek, nie szkodliwy dla zdrowia. Daleko częściej przygotowują farby dla zielonych gatunków herbaty używanych przez Amerykanów i Anglików. Jeżeli zaś pójdziemy dalej na zachód do Małorossyi i Królestwa Polskiego, to spotkamy tam niezawodnie herbatę, którą prawdziwy znawca za ledwie godną tej nazwy uzna. Tam herbata jest jeszcze gorszą aniżeli w Moskwie. To zaś ostatnie miasto pomimo wyszukanych nazw błyszczących etykiet i innych dodatków nie podaje prawie, z wyjątkiem zielonej i żółtej, żadnego już gatunku chińskiej herbaty bez przymieszki. A handlujący herbatą w Petersburgu dawno już wprowadzili zwyczaj, że pozbawione zapachu, cierpkie i nieprzyjemnego smaku gatunki herbaty otrzymywane dzięki kontrabandzie, stanowią u nich przymieszkę i podstawę innych rodzajów otrzymywanych z tego miasta, w którym jak wiadomo biedna klasa ludności zastępuje herbatę dosyć znośną kawą. Herbata pochodząca z kontrabandy otrzymywana bywa w Petersburgu i Moskwie przez granicę Pruską i Królestwa Polskiego, albo przez Finlandyę; w Małorossyi zaś i w Noworossyjskim kraju od południowo-zachodniej austriackiej granicy, w szczególności zaś przez Dunaj.

Wypada jeszcze rozważyć dwie następujące okoliczności. Kiachta prócz handlu herbatą prowadzi jeszcze inny rodzaj handlu — surowemi skórami, znajduje się on w rękach cudzoziemców i Sybiraków, a także i Mongołów chińskich. Skóry te używane bywają (sierścią do dołu, a spodem do góry), do pakowania skrzynek z herbatą, tak nazwanych cybików. Przy komorze dla uskutecznienia tej roboty, wytworzyło się osobne stowarzyszenie robotników, zajętych wyłącznie urządzaniem pak formę sześciannów, mogących zawrzeć w sobie od 2 do 2 1/2 pudłów herbaty. W wozowniach przepelnionych szkodliwymi wyziewami, stowarzyszenie to robotnicze zesztywna grubemi sznurami wszystkie paki z herbatą. Z przyczyny tej, biedni robotnicy pędząc ciągle życie siedzące i pracując śpiesznie, gorliwie, podpadają ciężkim często nieuleczalnym chorobom, między innymi suchotom. Robotnicy do opakunku używają wilgotnych zmoczonych skór i tak silnie ściągają je szwami, że po wyschnięciu cała paka przedstawia widok pudła, jakgdyby obitego skórą. Zdaje się, że ani kropla wody, ani odrobina świeżego powietrza nie są w stanie przeniknąć wewnątrz i zepsuć herbaty, znanej ze swego usposobienia do wciągania silnych obcych zapachów. Herbata z Kiachty dostawiana drogą lądową zawsze zachowywała swój aromat, przywożona też morzem, pomimo nieuniknionej wilgoci znajdującej się na spodzie okrętów, gdzie była składana, również nie psuła się, jeżeli była zaszyta w powyżej opisany sposób; dowiodła tego kompania amerykańska. Dla czegoż jednak herbata z Kantonu nie posiadała zapachu i zkadże powstało powszechne mniemanie, że droga morską psuje herbatę, a ztąd i niechęć do takowej? Psuje rzeczywiście herbatę nie droga morską, lecz kontrabanda. W tym samym czasie, gdy w Kiachcie ze szczególnem staraniem pakowaną bywa herbata, z zachodnich granic cesarstwa rossyjskiego, prowadzą ją tajemnie często razem z różnemi przedmiotami, silny wydajacemi odór w prostych zwyczajnych skrzynkach, a najczęściej w koszykach, a na południowych granicach cesarstwa (za Kaukazem) poprostu w płóciennych workach, które bywają kładzione na spoutniałe boki konia na równi z innymi ciężarami.

Poznajomwszy czytelniczki z wszystkimi temi okolicznościami i szczegółami, pozostaje nam tylko odpowiedzieć na pytanie ostatnie, czy słusznem jest przekonanie, że w Rossyi znają się dobrze na różnych gatunkach herbaty, lubią tylko prawdziwe i piją je czyste bez wszelkiej przymieszki?

Pić prawdziwej i czystej herbaty w Rossyi nie mogą, dla tego, że nie pozwalają na to i przeszkadzają temu wszystkie kupcy, którzy puszczają w obrót handlowy tylko mieszane gatunki herbaty i przyuczili smak konsumentów do uważania tej mieszanki za gatunki kwiatowe. W Petersburgu i w całej Rossyi piją niewiele w formie osłodzonego odwaru naparzonego i przygotowanego na kominie samowaru, przyczem i pozostała reszta aromatu ginie, a sama herbata z powodu dodania do niej różnych kwasów, jak np. cytryny, borówek smażonych lub mleka zmienia się w zupełnie inny napój. Przez używanie butek ze solą lub różnego rodzaju ciast najlepszy w świecie odwar kwiatowej herbaty doprowadzony bywa tem nieodpowiedniem konsumowaniem go do stopnia i znaczenia cegiełkowego. W ten sposób piją herbatę Kałmicy, Kirgizi, Buryaci, używając go zamiast zupy, kapuśniaku i innych gorących napojów. W Moskwie i w miastach leżących na gościńcu wiodącym do Syberyi, kwiatowej herbacie oddają należne jej pierwszeństwo i uznanie, nadto pozwalają na inne przymieszki i lubią używać tego napoju pod formą odwaru niesłodzonego i zrobionego z wrzącej, lecz nie przygotowanej wody. Herbata w tamtych stronach używana bywa jako napój konieczny po śnie nocnym, zrana i w popołudniowej drzemce wieczorem, zaś w innych porach dnia uważa się za specyał, którym ugaszczają znajomych w miejsce innego napoju, trzymając się silnie i w części sprawiedliwie przekonania „że zimną herbatą rozgrzewa, a latem chłodzi“.

Jeżeli do tego wszystkiego cośmy już powiedzieli, dodamy tę jeszcze uwagę, że handel herbatą stosując się do wymagań publiczności, a w części kierując niemi pozostawia na użytek Syberyi najlepsze czarne gatunki, wysyła do Moskwy po największej części kwiatowe i liansyńskie, a do Petersburga głównie czerwone, to otrzymamy nowy jeszcze i wymowny dowód tego, że Rossya Europejska (a za nią i Europa) mało się zna na herbacie. Położenie to da się określić w sposób następujący: Syberya spożywa te gatunki herbaty, które rosną w Fuczanie i zupełnie czyste bez żadnej przymieszki, przewożą się przez Kiachtę; Moskwa spotrzebowywała te gatunki, które dla niej przygotowują umyślnie, lub które sama przyrządza, a Petersburg, pozostałe części Rossyi i kraje biorące od niej herbatę obehodzą się temi gatunkami, jakie im przywiozą i w braku innych sprzedadzą.

W takim położeniu rzeczy dochodzimy do wniosku do którego zdążaliśmy i w myśl jego zdaje się nam być jasnym, że przy niewybrednym smaku, przy nieumiejętności rozróżniania jednych gatunków od drugich, najgorsze gatunki przywiezione morzem z Szanghai, mogą mieć to samo powodzenie i rozkup, jakimi cieszyły się dotychczas gatunki herbaty przywożone z Kiachty. Nie będziemy wprawdzie tym sposobem pili lepszej herbaty, lecz zyskamy pewną oszczędność na gorszych i tanich gatunkach.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — **Łzawy źródł**, (poezya), przez B. K. — **Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Przegląd piśmienniczy**, (dokończenie), przez Kazimierza Kaszewskiego. — **Przegląd teatralny**, przez Edwarda Lubowskiego. — **Ruch muzyczny**, przez Jana Kleczyńskiego. — **Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet**. — **Na wschodzie**, (dokończenie), przez S. Maksimowa.